Miłość po szkocku. Podróż po nowe życie. Rok 1967.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w

następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Liniowiec Fairstar.

Anna Habryn

Rozdział 2

Był majowy, piękny, słoneczny dzień. Stali na nabrzeżu w Southampton, cała szóstka, z zadartymi głowami, w milczeniu. Wielki liniowiec *Fairstar* wznosił się nad nimi białymi piętrami

pokładów, na których mrowili się ludzie: bajkowy statek, który miał ich zabrać na koniec świata, do ziemi obiecanej.

Mary wzięła za rękę małą Mandy i ruszyli w kierunku wysokiego trapu: Mary z trzyletnią córeczką przodem, za nimi ośmioletni Alan i dwaj starsi synowie, Brian i William, taszczący wspólnie walizkę, na końcu Gordon przygarbiony pod ciężarem dwóch wielkich waliz. Rodzinka jak z obrazka, w nowiutkich wiosennych płaszczach, Mandy z warkoczykami przewiązanymi zieloną wstążką, Mary w nowym zielonym kapeluszu. Parli naprzód, zdecydowani pokonać wszelkie przeszkody.

Na pokładzie skierowano ich do olbrzymiego („jak sala balowa", pomyślała Mary) foyer zapełnionego tłumem podróżnych. Stewardzi, przystojni Włosi, krążyli wśród podróżnych jak pszczoły dookoła miodu. Przez głośniki wywoływano jakieś nazwiska. Ludzie śmiali się, płakali, dzieci szalały pod nogami i między walizkami. Dłuższy czas Grantowie czekali, aż wywołano ich nazwisko. Młody steward poprowadził ich w dół, korytarzami, do kabiny. Ulokowano ich w pomieszczeniu podzielonym przepierzeniem: łóżka dla dzieci ustawione były piętrowo w jednej części, dwa łóżka dla rodziców – w przejściu do łazienki. Łazienka była maciupka, ale był tam prysznic, sedes i umywalka. Ogólnie, było to całkiem przytulne, miłe pomieszczenie. Co najważniejsze, byli wszyscy razem. Mary odczuła ulgę, bo cały czas obawiała się, że Gordon będzie musiał mieszkać gdzieś na

osobnej sali dla mężczyzn. Właśnie tak podróżował do Australii jej brat Charlie kilka lat wcześniej. Na samą myśl o tym cierpła jej skóra na grzbiecie: sama w obcym otoczeniu z czwórką dzieci! (…)

Na nabrzeżu szkocka orkiestra grała *Will ye no come back again*. Stali przy relingu. Ludzie dookoła płakali i machali rękami do odprowadzających, a pasek wody oddzielającej ich od ojczyzny powoli się poszerzał.

Grantowie nie szukali wzrokiem na nabrzeżu żadnej twarzy, bo cała ich dalsza rodzina pożegnała ich na Kirkcaldy Station trzy dni wcześniej, ale Mary i tak czuła łzy w oczach. I – jak wszyscy – Mary, Mandy, chłopcy i Gordon machali rękami do tych na nabrzeżu, a orkiestra grała *Auld Lang Syne*. Mary pomyślała: *Czego tu płakać! Przecież ja tu jeszcze wrócę.* Gordon objął ją ramieniem i wiedziała, że to, co zostawiają za sobą, jest mniej ważne niż to, co ich czeka. A we Fremantle będą ich witać najbliżsi: jej matka, siostra, brat i ojczym, wszyscy szczęśliwie zakorzenieni już na nowym lądzie. Charlie, brat, wyjechał do Australii pierwszy, zaraz po powrocie z wojska. Lata sześćdziesiąte były trudne na Wyspach Brytyjskich i Charlie nie mógł znaleźć pracy, a w Australii pracy było w bród. Jechał tam z kontraktem w kieszeni. (…)

Zatoka Biskajska, która – jak im mówiono – zawsze była

wzburzona, tego majowego dnia lśniła jak lustro. *Fairstar* sunął po srebrnej powierzchni marszczonej lekkimi falami, a na górnym pokładzie zastawionym leżakami kłębili się ludzie. (…)

***

Myśl o wojnie nie opuszczała jej. Nawet kiedy przepływali przez Gibraltar, tak blisko słynnej skały, że widać było małpki skaczące po drzewach, nawet wtedy Mary nie mogła się uwolnić od tego niepokoju. Stała na pokładzie pod wysokim, pogodnym śródziemnomorskim niebem i myślała, że płynie po tym samym morzu, w którym Niemcy omal nie utopili Jana. To było gdzieś w tych okolicach, w 1942, dwunastego listopada (tę datę Mary dobrze pamięta, bo później, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia urodziła się jej siostra Sandra). Jan pływał wtedy na polskim okręcie „Dragon”. Miał tam przyjaciela, Stefana. Stefan pochodził z Warszawy, miał 23 lata, Jan, dwa lata starszy, traktował go jak młodszego brata. Tego dnia, późnym rankiem Jan wyszedł na pokład, na krótką przerwę, wypić poranną kawę, a właściwie kakao, oni pijali na drugie śniadanie kakao. I wtedy nadleciało wprost nad ich głowy, z jasnego nieba, sześć samolotów Luftwaffe. Pocisk trafił w sam środek pokładu i rozerwał się dopiero w maszynowni, dokładnie tam, skąd Jan wyszedł pięć minut wcześniej. Okręt ciągle trzymał się na wodzie – Jan zbiegł do maszynowni. Szukał Stefana, znalazł głowę, ciało też tam gdzieś było, wśród szczątków czterdziestu sześciu

innych. Nie było już nikogo do ratowania.

Okręt tonął. Łodzie ratunkowe były już spuszczone. Ludzie skakali do nich z pokładu, a nad głowami krążyły niemieckie samoloty i strzelały. Jakiś odłamek trafił Jana w łokieć w momencie, kiedy wdrapywał się do łodzi. Wciągnięto go. Potem trzy dni płynęli, aż jakiś amerykański okręt wyłowił ich u wybrzeży Afryki. Ręka Jana była już czarna od gangreny.

Po sześciu tygodniach w szpitalu w Algierze, gdzie wszystkie pielęgniarki, zarówno czarne jak białe, mówiły tylko po francusku i żadna nie mogła za niego napisać listu, Jan doszedł do siebie na tyle, że przewieziono go samolotem do Gibraltaru, a stamtąd inny amerykański statek zabrał go do Anglii.

Pewnego dnia, w 1943 roku, stanął na progu ich mieszkania ze swoim przepraszającym uśmiechem, duży i nieporadny, w spodniach od amerykańskiego munduru, w pożyczonej koszuli i w polskiej czapce marynarskiej – i to był cały jego majątek. Wszystkie dokumenty, listy, fotografie rodzinne utonęły w Morzu Śródziemnym.

Mary przechyliła się przez barierkę: w tym ciepłym, zielonkawym morzu, gdzieś na dnie spoczywał „Dragon”, a z nim i Stefan, i inni.

Czy to możliwe, żeby po tylu latach, po tylu cierpieniach, ludzkość nie była mądrzejsza? Czy to możliwe, żeby dzisiaj, w maju 1967 roku, ktoś chciał rozpoczynać wojnę?! Właśnie wtedy, kiedy oni rozpoczynają nowe życie. (…)

***

Dziesięć funtów od osoby kosztował ich ten przejazd do Australii, resztę dopłacał rząd. Oczywiście, żeby na to zasługiwać, kandydat na Australijczyka musiał być nieskazitelnie czysty, bez kartoteki w policji, mieć doskonałe zdrowie i zadowalającą historię zatrudnienia. Toteż można było przyjąć, że *Fairstar* wiózł na pokładzie solidny ładunek uczciwych potencjalnych Australijczyków, choć różnili się oni między sobą akcentem, charakterem i przeszłością. Niektórzy byli nieco zamożniejsi niż inni, bardziej pewni siebie i głośniejsi w barze. (…)

Gordon siedział nad następną szklanką, a oczy pływały mu we łzach. Mary westchnęła.

– Pójdziemy już, prawda?

– Co my tu robimy? Po co my tu siedzimy?

– Och, Gordon, upiłeś się znowu.

– Nie jestem pijany. Jestem głupi, że dałem się namówić na tę podróż. Straciłem wszystko, wszystko sprzedane: dom, samochód. Na zatracenie!

– Kochany – zaczęła tłumaczyć szeptem, jeszcze raz, od początku. – Dorobimy się szybko i więcej, tam są możliwości. Matka pisze, że łatwo o dobrą pracę. Kupimy dom niedługo. Zobaczysz.

– Praca. Oni wszyscy – zatoczył ręką łuk – oni myślą, że znajdą złoto.

– To nie tak. To górnicy, a tam są kopalnie złota.

– Ja nie jestem górnikiem.

– Nie martw się. Jan dostał pracę w mennicy, a Sandra w biurze. Coś się znajdzie dla ciebie, na pewno.

– Po co nam to… Mieliśmy wszystko! (…)

***

Byli małżeństwem od trzynastu lat. Miała osiemnaście lat, kiedy poznała go na zabawie. Dobrze ubrany, farmerski syn, był bardzo przystojny, choć nieco tylko wyższy od niej i dobrze tańczył. Był jednym z czterech braci gospodarujących na 500-akrowej farmie.

Wszyscy oni byli uważani za świetne partie. Gordon był pięć lat starszy od Mary.

– To właśnie to, czego ci trzeba – orzekła jej matka. (…)

Jeżeli jednak nie była pewna swych uczuć wobec narzeczonego, to zakochała się od razu w jego rodzinie. Jej teściowa, Izabella, była wszystkim, czym matka rodziny powinna być. Wchodząc do jej domu, wchodziło się w inny świat. To był wielki wiejski dom: wielki kominek, ogromny stół, obfitość jedzenia, zapach domowych konfitur, domowej roboty bułeczki, naleśniki… Każdy posiłek jak uczta. A przy tym Izabella Grant była piękną, postawną kobietą. Potrafiła być stanowcza i ustanawiać domowe prawa, a jej rodzina odpłacała jej taką samą miłością i szacunkiem, jakimi ona obdarzała ich wszystkich.

Wszystkie wydatki i koszta wesela pokryła Izabella. Mary pochodziła z miasta i mieszkańcy wsi długo uważali ją za obcą, ale w domu Izabelli Mary szybko dostosowała się do życia na farmie. Polubiła je. Przez sześć miesięcy mieszkali z teściową, potem kupili własny, mały domek, och, to było cudowne! Mary miała poczucie, że życie jest piękne u boku jej przystojnego, dobrego i spokojnego męża. Tak, porównując się do innych młodych mężatek dookoła uznawała, że powodzi jej się dobrze. Często zabierała z miasta na farmę swoją młodszą siostrę Sandrę, bo dziewczynka przeważnie siedziała w domu sama:

ojciec był zwykle w pracy, a matka… nie wiadomo, gdzie. (…)

***

Kryzys bliskowschodni dopiero się rozpoczynał. *Fairstar* miał być ostatnim statkiem pasażerskim, który przepłynął przez Kanał Sueski w 1967 roku, w ostatniej chwili, choć pasażerowie nie byli tego świadomi. Dookoła panował spokój, tyle że zbliżając się do strefy Kanału mijali stojące na redzie angielskie statki wojenne czekające na przeprawę.

Morze było jak bajka, przez ostatnie dni zachody słońca barwiły niebo nieprawdopodobnymi kolorami, a teraz oto – dla ukoronowania tego wszystkiego – przesuwały się przed jej

oczami płaskie brzegi Afryki, jak dekoracja do hollywoodzkiego filmu.

Mary była od dzieciństwa kinomanką. W jej dziecinnej fascynacji srebrnym ekranem tkwiła gdzieś głęboko wiara, że w tym świecie wytwornych kobiet i wspaniałych romansów, czeka na nią jej własne miejsce.

To było zdumiewające: zapomniane uczucie oczekującej, wspaniałej, tajemniczej przygody znów do niej wróciło, po tylu latach! Kiedy ogłoszono, że w Port Saidzie pasażerowie mogą zejść na ląd i organizuje się dla nich całodniową wycieczkę pod piramidy – powiew egzotycznej przygody był tak silny, że Mary zaparło dech. (…)

Gordon zażyczył sobie odwiedzić sklep złotnika i Mary wiedziała, dlaczego: zbliżały się jej urodziny. Potem zdecydowali przejść się po starożytnych uliczkach na piechotę. Przewodnik szedł z tyłu, prowadząc za sobą konia i bryczkę. Szli nie spiesząc się, rozglądając się i smakując całą niezwykłość otoczenia. Nagle z jakichś drzwi wynurzył się młody Arab w szkarłatnym fezie na głowie, w szacie przewiązanej w pasie jedwabnym sznurem z frędzlami. Wyglądał jak prawdziwy arabski Szejk, wojownik pustyni prosto z kinowego ekranu, *dar bogów dla każdej kobiety*, pomyślała romantycznie Mary. (…)

Port Said to była przygoda. Nigdy nic podobnego już nie zobaczą. Ale bez głębszego wnikania w ciemne tajemnice Wschodu mogą się świetnie obejść.

Równik przekraczali z wielką pompą. Na górnym pokładzie królował brodaty Neptun z orszakiem lekko owłosionych – przy bliższym przyjrzeniu się – Syren. Z dużym hałasem wybierano najpiękniejszą pasażerkę spomiędzy kilkunastu rozchichotanych dziewcząt. Wybrana otrzymywała prawo zasiadania do końca rejsu przy kapitańskim stole. Uroczyście wręczono wszystkim Grantom – zagubionym wśród całej rzeszy innych podróżnych – świadectwa przekroczenia Równika.

Rozdział 3 ukaże się w poniedziałek 27 marca 2017 r.